

O postchrześcijaństwie Konieczne doprecyzowania wstępne

Paweł Milcarek

a może pokarałeś mnie
małego ciemnego za upór
za pychę
za to
że próbowałem stworzyć
nowego człowieka
nowy język
(...)
życie bez boga jest możliwe
życie bez boga jest niemożliwe

Tadeusz Różewicz, Bez

Powstanie postchrześcijaństwa, jego metamorfozy i przejmowanie przez nie kontroli na coraz szerszych przestrzeniach cywilizacji Zachodu jest jednym z najważniejszych procesów ery nowoczesności. Jest też bodaj największym wyzwaniem dla Kościoła, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwustu lat. Równocześnie jest to fenomen dość słabo opisany, począwszy od definicji.

Słowo „postchrześcijaństwo” nie jest zupełnie nowe i nieużywane. Weszło do użycia w wieku XX. Wszyscy, którzy go używają, zgodzą się, że tak nazwiemy efekt „pełzającej apostazji” narodów świata cywilizacji chrześcijańskiej. Jednak to, o jaki konkretnie efekt tu chodzi, jest na ogół jedynie przedmiotem niejasnych przeczuć i ogólnych intuicji.

Spróbujmy powiedzieć, czym postchrześcijaństwo nie jest – przynajmniej jako przedmiot naszego zainteresowania tutaj. Owszem, jest efektem dechrystianizacji – ale przecież nie jest jedynie i po prostu brakiem chrześcijaństwa w społeczeństwach do niedawna chrześcijańskich. Nie jest również jakąś nową

postchrześcijaństwo

duchowością, która na zasadzie *deus ex machina* pojawiałaby się nagle w próżniach niewiary dawnych chrześcijan. Nie jest też zwyczajnym antychrześcijaństwem, czyli każdą ideą wytworzoną dla niszczenia chrześcijaństwa. Chociaż zaś w genezie postchrześcijaństwa dużą rolę odegrał konfrontacyjny względem chrześcijaństwa „renesans” pogańskiej starożytności, nie jest ono neopogaństwem. Być może najtrafniej byłoby określić postchrześcijaństwo jako herezję chrześcijańską – lecz i tutaj powinniśmy zachować ostrożność, gdyż na pewno nie spełnia się tu w zwykły sposób teologiczna definicja herezji jako świadomego i upartego negowania jakiejś prawdy wiary.

Nie będąc niczym z rzeczy wymienionych wyżej, postchrześcijaństwo jest niezwykłą kompozycją niewiary i sekularyzacji. Jest zsekularyzowanym chrześcijaństwem. Jest niewiarą, która chce odrzucić z chrześcijaństwa – jedynie, przede wszystkim lub w pierwszej kolejności – to, co czyni je religią prawdziwą (*religio vera*), czyli posiadającą *ortodoksję*, dany przez Boga sposób oddawania Mu czci. Zatem postchrześcijaństwo tworzy się przez dwa poruszenia, które mogą następować w różnej kolejności: odmowę wiary Bogu oraz taką asymilację treści chrześcijaństwa, żeby nie wymagało to aktu wiary, a z nim – oddawania Bogu czci.

To znaczy, że stan, o którym mowa, nie polega na całkowitym zniwelowaniu dziedzictwa chrześcijańskiego – raczej trzeba by powiedzieć, że zostaje ono gruntownie przeorganizowane, z pominięciem tego, co tworzy jego prawdziwe centrum. Nie oznacza to powrotu do stanu sprzed chrystianizacji. Powrót do tego stanu nie jest zresztą możliwy. Bogowie pogan zostali bowiem pokonani wieki temu, nieodwołalnie – przez chrześcijaństwo. Odeszli i już nie wrócą. Zostali zdemaskowani jako równocześnie złudzenia i demony: złudzeniem było przypisanie boskości siłom naturalnym, a demoniczne było odwrócenie czci należnej Bogu – ku czemuś, co nie jest Bogiem.

Życie umysłowe i uczuciowe społeczeństw niegdyś będących ojczyznami christianitas nigdy nie przechodzi po prostu w formy zupełnie obce czy przeciwne chrześcijaństwu – lecz właśnie rozbija się i przekształca w szereg form postchrześcijańskich. W tych ostatnich co prawda często nie brak agresji względem chrześcijaństwa Kościoła, lecz – tak sędzę – aż dotąd są one nie do pojęcia bez

uwzględniania ich chrześcijańskiej genezy. To zresztą dezorientuje: gdy bowiem ktoś nazwie te formy antychrześcijaństwem, zaraz ktoś po stronie chrześcijańskiej wyrywa się z odkryciem, że nie jest to antychrześcijaństwo, skoro – zachwycamy się – jest w nim tak wiele podobieństw do wiary Chrystusowej, wiele „pojęć i zasad autentycznie chrześcijańskich”. Należałoby pozostać co najmniej sceptycznym wobec tych zachwytów, gdyż wynikają one z niezrozumienia, jak głębokiemu przetworzeniu i zniekształceniu podlegały rzekomo „źródłowo chrześcijańskie” hasła światopoglądów i ideologii postchrześcijańskich.

Pozbawienie chrześcijaństwa jego nadprzyrodzonego centrum pozwala na wybieranie w jego miejsce dowolnego „absolutu” – przy czym z zasady tworzy się go z którejś „wartości chrześcijańskiej”. Tak więc w środowisku postchrześcijańskim stosunek do chrześcijaństwa może być naznaczony wrogością do Kościoła, niechęcią do dogmatów i nauki moralnej, wypominaniem Kościołowi jakichś „czarnych kart” etc. – jednak jest tam i pewien rodzaj akceptacji, bardzo dwuznacznej: entuzjazm dla wybranych i okrojonych składników chrześcijaństwa, czasami tak silny, że rozrywający chrześcijaństwo na kawałki. W wyniku tej procedury powstała cała świecka „teologia” postchrześcijaństwa: doktryna godności, wolności, praw człowieka, tolerancji, autorytetu, dobroczynności.

Istnieje więc wiele bardzo różnych „chrześcijaństw” postchrześcijaństwa – a istnieją one niemal wyłącznie jako swoje antytezy, przeciwieństwa. Zasadą każdego z tych „obrazów” jest jego skrzywienie, pomniejszenie lub wyolbrzymienie różnych składników oryginału. Poszczególne „chrześcijaństwa” oskarżają się wzajemnie – a jedynym skutkiem wejścia w ten spór jest rozbieżność i coraz dalej idące rozszczepienie jedności formy ortodoksyjnej – jedności, która zawsze jest komunią, katolickością, zjednoczeniem, złożeniem organizmu, a nie atomem lub zlepkiem równorzędnych części.

Jest to jeden z najważniejszych elementów obecnej sytuacji: chrześcijaństwo, które przestaje nawracać, samo bywa przedmiotem „nawracania” ze strony świata postchrześcijańskiego. Chrześcijaństwo, które przestaje rozumieć samo siebie jako ortodoksję, część Boga i drogę zbawienia – zaczyna się samo traktować jako religijną scenografię dla akcji na rzecz Honoru Ojczyzny, Praw Mniejszości, Wolności Gospodarczej lub Równości.

Istnienie uszkodzonych „chrześcijaństw” jest z reguły tylko początkiem procesu – a następnym etapem były w Europie porewolucyjnej ideologie raczej unikające chrześcijańskich scenografii i sztafaży, a nawet gotowe do otwartej i bezwzględnej wojny z każdym chrześcijaństwem lub każdą religią. Jednak nawet żarliwie antyreligijne ideologie nowoczesności miawały poważny problem z tym, żeby pozbyć się ciągłot postchrześcijańskich. Żadna z tych ideologii nie mogła wypłatać się z ambicji, by być czymś lepszym niż chrześcijaństwo Kościoła, przewyższyć je w dawaniu ludziom wyzwolenia i chwały. Miawały więc ambicje typowe dla postchrześcijaństwa.

Postchrześcijaństwo odejmuje ludziom formy oddawania Bogu należnej Mu czci – a cześć ludzi przenosi na jakieś dobra i wartości, których odkrycie lub uwznioślenie miało związek ze świadomością chrześcijańską: wolność, godność osoby etc. To zabranie Bogu czci i przekierowanie jej na coś, co nie jest Bogiem, czyni z dóbr w ten sposób wyróżnianych coś, czym one nie są, absolutem. Równocześnie jednak jest w postchrześcijaństwie ów imperatyw „antyortodoksji”, by nawet czczonym dobrom najwyższym nie pozwolić na ukazywanie się w majestacie sacrum.

Oba wspomniane składniki (mianowanie nowych „absolutów” oraz likwidacja „czci boskiej”) pozostają w napięciu, jeśli nie sprzeczności. Wydaje się, że dzieje postchrześcijaństwa to nie tylko historia zastępowania Boga różnymi dobrami – lecz i, wewnątrz każdego z tych „politeizmów”, dramat dialektycznego zmagania dwóch tendencji: by się pozbyć aktu czci religijnej i by jednak dać ludziom cel nadrzędny, organizujący życie. Nie od razu i nie zawsze udaje się zaś postawić w tym miejscu coś, czego nie daje się otoczyć kultem, czcią. Uczynienie celem dążeń ludzkich i wartością nadrzędną zbiorowości czegoś, czego nie da się czcić, jest trudnym zadaniem. Na przykładzie komunizmu można rzec, że najbardziej radykalne wersje ideologii ateistycznej nie potrafią się pozbyć skłonności religijnej i sakralizującej. Kolejne cykle postchrześcijaństwa rozpoczynają się zwykle od przewrotu obiecującego równocześnie egzaltację innej wartości naturalnej (np. sprawiedliwości społecznej – przeciw inicjatywie jednostki) i likwidację normy sakralnej (np. „świętego prawa własności”). Następnie zostaje zaprowadzony nowy system, który aby się społecznie utrzymać, posługuje się jakąś odpowiadającą mu sakralizacją. Skoro sakra-

lizuje się coś świeckiego, wywołuje to szybko kryzys „niewiary” i rewolucję w imię innego „świeckiego bóstwa”.

Nazwa „postchrześcijaństwo” zdaje się zawierać w sobie sugestię, że nazywany fenomen musi ukazywać się „po” chrześcijaństwie, tak jak epoka przychodzi po epoce, a panowanie jednego kulturowego *eonu* – po innym i w jego zastępstwie. Takiego sensu nabiera słowo „postchrześcijaństwo”, gdy użyjemy go wyłącznie jako roboczej etykiety dla tego nie-wiadomo-czego, co wyłania się na oczach ostatnich pokoleń na terenach wielowiekowego panowania religii chrześcijańskiej i *christianitas*, jakby w ich miejsce. Jest normalne, że wobec fenomenu zarazem tak bliskiego – czasowo i kulturowo – oraz wciąż *in statu nascendi* analitycy pozostają bezsilni, i dlatego tymczasowo zadowolają się zbieraniem różnych elementów do wielkiego worka opisanego jako „to, co idzie po chrześcijaństwie”.

Jednak można też inaczej – i tutaj pójdziemy tą inną drogą. W dalszych analizach i namysłach postchrześcijaństwo uzyskuje sens równocześnie szerszy i choć trochę bardziej sprecyzowany niż w przypadku wyżej wspomnianym. Sens jest szerszy – ponieważ postchrześcijaństwa nie zawężamy do ostatnich dziesięcioleci widocznej detronizacji chrześcijaństwa w życiu Zachodu; sens terminu odłączamy od myślenia w kategoriach dziejowego następstwa formacji społeczno-kulturowo-religijnych.

W przyjętym tu rozumieniu postchrześcijaństwem jest natomiast formacja (lub formacje), która – w jakimkolwiek czasie, a więc i w starożytności czy średniowieczu itd. – powstaje z przetworzenia chrześcijaństwa. Jest to warstwa *materialna* naszego określenia: postchrześcijaństwem jest to, co powstaje na chrześcijańskim gruncie i z chrześcijańskich elementów (choć oczywiście może następnie przerzucać się gdzie indziej oraz mieszać z innymi wpływami). W sensie nieco szerszym będzie też zaliczało się do postchrześcijaństwa to, co może i nie jest już wprost modyfikacją żywego chrześcijaństwa, ale jest nadal efektem odniesienia do niego lub na tyle mocno dziedziczy wpływ chrześcijański, że nie da się bez tego poprawnie objaśnić.

Do tego dochodzi niezbędne sprecyzowanie *formalne*, które jest o wiele trudniejsze do uchwycenia. Pytamy: przez co chrze-

ściJAństwo zostaje przetworzone na tyle, że nie jest już sobą, lecz czymś jedynie bardziej lub mniej łużąco podobnym? Przy pierwszym podejściu do tematu powiedziałem, że ta metamorfoza zmierza do pozbawienia chrześciJAństwa tego, co czyni zeń religię prawdziwą i chciany przez Boga sposób oddawania Mu chwały, czyli *ortodoksję*. Jednak nie zawsze jest to efekt natychmiastowy, a nawet nie zawsze jest on przewidywany i zamierzony. Sprawa jest skomplikowana.

Dotkniemy istoty kwestii, gdy powiemy, że chrześciJAństwo staje się postchrześciJAństwem nie przez tę czy inną usterkę doktrynalną lub moralną (czyli przez typową herezję czy kryzys obyczajowy), lecz w wyniku zupełnie zasadniczej blokady w warstwie życia teologalnego: wiary, nadziei i miłości. Rzecz będzie wymagała dokładniejszego prześledzenia w toku dalszych wglądów historycznych – jednak z pewnością nie będzie pomyłki w domyśle, że nie ma postchrześciJAństwa bez uaktywnienia się czynników takich jak niewiara-apostazja, desperacja, zniechęcenie-acedia. To sprawia, że zachowują się i są nadal „w grze” całe struktury świadomości chrześciJAńskiej, lecz oderwane od swego teologalnego centrum i sensu, a następnie z reguły przetwarzane według reguły *etsi Deus non daretur*, „jakby Boga nie było”.

Wspomniane wyżej niewiara, desperacja i zniechęcenie to między innymi nazwy używane w traktatach teologów dla oznaczenia grzechów przeciw trzem cnotom boskim: wierze, nadziei i miłości. W sensie ścisłym mówimy o tych grzechach tylko w odniesieniu do zachowań konkretnych osób, jednostek. To przecież konkretni ludzie tracą wiarę bądź poddają ją prywatyzującej selekcji, nie domagają w nadziei lub stają się niezdolni do czerpania radości z tego, co przybliża ich do umiłowanego Boga. My natomiast mówimy obecnie o owych deficytach i szkodach w wymiarze społecznym i historycznym – na podstawie założenia, że chociaż chorują poszczególni ludzie, czasami układu się to w epidemię.

Jednak postchrześciJAństwo nie jest tylko utrwalonym zapisem niewiary, beznadziei i acedii. One stoją za całym problemem postchrześciJAństwa, lecz są w nim raczej ukryte niż manifestowane. Albowiem postchrześciJAństwo jest próbą „poradzenia sobie” z kryzysami wywołanymi chorobami dusz, które wymieniliśmy. Jest więc, w swoich różnych wersjach, próbami zasklepienia ran

i wyrw, które powstają w chrześcijaństwie poddanym dyktatowi niewiary, desperacji i zniechęcenia. W tym sensie postchrześcijaństwo bywa po prostu takim „chrześcijaństwem”, które da się zaakceptować przez kulturę przyjmującą jako stan domyślny ludzkiej kondycji pewne postacie grzechów przeciw wierze, nadziei i miłości. „Chrześcijaństwem”, które jest lub zmierza do tego, by stać się czymś pożytecznym i wartościowym, nawet jeśli żadnego znaczenia nie miałby w nim związek z Bogiem.

Przyglądając się sprawie w aspekcie wiary i niewiary, można więc powiedzieć, że przetworzenie chrześcijaństwa polega na zasadniczej zmianie racji, dla której jest ono akceptowane lub odrzucane. Dla chrześcijaństwa tą racją, którą się ono legitymuje, jest *roszczenie prawdziwości*, nierozdzielnie związane z pojmowaniem samego siebie jako objawienia danego przez Boga i jako drogi zbawienia wiecznego. Krótko mówiąc, chrześcijaństwo uznaje się za poprawnie przyjęte, jedynie gdy przyjmujący robi to z przeświadczeniem o jego prawdzie, a praktykowanie owej religii prawdziwej uznaje za wierność Bogu samemu i swoje zdążanie do życia wiecznego. Natomiast modyfikacja tworząca postchrześcijaństwo powstaje wtedy, gdy te najważniejsze racje akceptacji chrześcijaństwa (lub sporu z nim) zostają – w środowisku znajdującym się nadal pod jego wpływem, choćby przez istniejące dziedzictwo – zastąpione czymś innym (do wyboru: szlachetnością moralną, pożytkiem społecznym, pięknem ideałów...). Krótko mówiąc, gdy na horyzoncie pojawia się myśl – czasem wypowiedziana, czasem niewypowiedziana – że staje się coś innego niż prawdziwość, oraz gdy przyjmuje się chrześcijaństwo i używa go, czyli jako nieprawdę, pożyteczną jednak także przy założeniu, że nie jest ono objawieniem Boga i nie prowadzi do zbawienia wiecznego.

Na tle tych doprecyzowań staje się, mam nadzieję, zrozumiałe, dlaczego w poprzednim tekście wprowadzającym napisano, że nie każda herezja jest postchrześcijaństwem. O ile bowiem każda herezja jest umniejszeniem chrześcijaństwa (wyborem lub raczej wyrwaniem jakiejś części z całości albo może przyjęciem „całości” pozbawionej jakiejś części), o tyle jedynie formacje postchrześcijańskie umniejszają je – i de facto unieważniają – przez usunięcie samej racji generalnej jego znaczenia. Zaryzykujmy analogię, zgodnie z którą jeśli inne herezje są jak pierwsze lepsze grzechy

(niektóre ogromnie ciężkie, lecz wciąż pozostawiające niezatartą drogę do nawrócenia), o tyle herezja postchrześcijaństwa jest jak tajemniczy grzech przeciw Duchowi Świętemu – który odcina drogę nawrócenia, gdyż unieważnia sam problem nawrócenia. W przypadku postchrześcijaństwa mielibyśmy więc nie jedno czy drugie odstępstwo od prawdy chrześcijaństwa, lecz w ogóle unieważnienie przyjmowania go w aspekcie prawdy. Nasza analogia nie oznacza oczywiście, że apostazja czy herezja postchrześcijańska jest od pierwszego kroku zatraceniem bez szans nawrócenia – lecz ma ukazać skalę problemu: istotą postchrześcijaństwa jest zachowywanie pozorów trwania w chrześcijaństwie przy odebraniu mu właśnie tego, co jest w nim religią, wiarą i zbawieniem.

Jako kwestia wymagająca uważnej analizy będzie do nas wracać pytanie o to, jaki udział w wytwarzaniu postchrześcijaństwa mają poszczególne z wymienionych deficytów duchowych, odnoszących się do wiary, nadziei i miłości. Wydaje się, że najbliższa pełniejszego naświetlenia jest relacja postchrześcijaństwa i niewiary – gdyż łatwiej nam obserwować relację między ideami, conceptami rozumowymi i rozumowym komponentem wiary religijnej. Udział aktów desperacji i zniechęcenia jest zapewne co najmniej równie ważny, lecz jest trudniejszy do uchwycenia lub po prostu wymaga stanowiska obserwacyjnego innego niż to, które zajmuje historyk idei. Tego innego punktu widzenia nie powinno zabraknąć w dalszych przybliżeniach do analizy źródeł postchrześcijaństwa.

Zatrzymując się teraz przy etapie antyteologicznego „wielkiego wybuchu” – bez którego nie rozpoczynają się dzieje żadnej formacji postchrześcijańskiej – nie możemy tracić z oczu tego, że nie jest to koniec historii: tak jak w różnych momentach i miejscach świata chrześcijańskiego może, przez jakiś zwrot niewiary, wystartować taka czy inna forma postchrześcijaństwa, tak może ona następnie ewoluować, zwykle wraz z wykruszaniem się z niego kolejnych warstw dziedzictwa religijnego. Dzieje formacji postchrześcijańskich idą różnymi szlakami, z których dwa pierwszorzędnie ważne to z jednej strony odrzucanie poza „istotę chrześcijaństwa” tych elementów, których konieczność nie jest widoczna w świetle nowego paradygmatu postchrześcijańskiego; z drugiej strony – likwidacja form życia związanych z tymi elementami „niekoniecznymi”.

W sposób naturalny dzieje się to również w konfrontacji z innymi postchrześcijaństwami. Pamiętajmy więc, że każde z postchrześcijaństw zawiera równocześnie resentyment względem chrześcijaństwa Kościoła oraz – niekiedy ukryte – pożądanie bycia „czystym chrześcijaństwem” albo czymś-lepszym-niż-chrześcijaństwo, oczywiście wedle kryteriów dalekich od ortodoksji. Zatem dużą rolę w każdym postchrześcijaństwie odgrywa zarówno logika zerwania (w stosunku do autorytetu i dominacji Kościoła), jak i żądza bycia „prawdziwą ewangelią”.

W końcu należy też uwzględnić ogromnie ważny fenomen adaptacyjny: im cięższa jest masa postchrześcijańskiej kultury laickiej zbudowanej na otwartym dystansie (apostazji) względem chrześcijaństwa religii prawdziwej, tym silniejsza jest we wspólnotach tego ostatniego tendencja do upodobnienia do tego pierwszego. Prowadzi to do krystalizowania się wewnątrz ortodoksyjnej społeczności kościelnej swoistego postchrześcijaństwa ludzi wierzących, na obraz i podobieństwo laickiego postchrześcijaństwa apostazji. Krótko mówiąc, wpływowe postchrześcijaństwa apostatów rzadko istnieją bez swoich homologów wewnątrz wspólnoty ludzi wierzących.

W którym miejscu dziejów powinniśmy rozpocząć nasze próby uchwycenia procesów wytwórczych postchrześcijaństwa? Z tego, co powiedziano wyżej, wynikałoby, że procesy te są, w jakiejś skali, współczesne całej erze chrześcijańskiej. Jednak możemy przyjąć założenie, że badanie rozpoczyna się raczej tam, gdzie dochodzi do wytwarzania się wielkich rozłamów, które – właśnie w logice postchrześcijaństwa – ucieleśniły się w wielkich strukturach cywilizacyjnych.

Wbrew temu, co chciałaby o tym sądzić rycerska część naszych dusz, wojny tworzą za mało dobra, aby je opiewać. Owszem, rodzą pewne kwantum bohaterów (takich, których być może nie byłoby bez wojny), lecz zarazem produkują całe mnóstwo kalek. Kalek jest zawsze zdecydowanie więcej niż bohaterów i nawet jeśli po wojnie głos bohaterów brzmi donośniej, nędza kalek wyznaczy reakcje w kolejnych pokoleniach. Dotyczy to nie tylko – i może nawet nie przede wszystkim – wojen cielesnych. Tak jest i z wojnami duchowymi – a w nich, inaczej niż w wojnach

toczonych przez „ciało i krew”, kalectwo jest zawsze przegraną życiową, deformacją odbierającą więcej niż wdzięk i fizyczną sprawność. Prawda więc jest niełatwa: wojny są czasami nieuniknione i ludzie prawi nie mogą udawać, że tak nie jest – lecz wojny są gorsze niż pokój, przerażająco gorsze. Dlatego mimo że Pan przyniósł na ziemię także miecz i spór, jednak za błogosławionych, czyli szczęśliwych, uznaje jedynie „czyniących pokój”, razem z tymi, którzy „cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości”.

Interesuje mnie aspekt duchowy sprawy, a w nim – to, jakie kalectwo (lub rozstrój czy fragmentacja) jest podstawowym skutkiem wielkich wojen duchowych. Moje pytanie dotyczy zresztą nie tyle poszczególnych osób ludzkich, lecz „osoby”, którą jest zaangażowana w wojnę społeczność chrześcijaństwa, czyli Kościół ujęty w jego warstwie ludzkiej i społecznej.

Wojny bywają krótkimi konfliktami – lub długotrwałymi napięciami. Kończą się jednoznacznym rozstrzygnięciem – lub jedynie uznaniem, że jednoznacznego rozstrzygnięcia racji nie będzie. Są też wojnami zderzającymi istniejące uprzednio ośrodki o sprzecznych interesach – lub wojnami „domowymi”, czyli takimi, w których dopiero przez konflikt wewnętrzny wyodrębniają się „swoi” i „obcy”. Wszystkie te aspekty odgrywają swoją rolę także w konfliktach światów duchowych.

Długowieczna christianitas przeżyła wiele potężnych konfliktów, w których mieszały się aspekty teologiczne, polityczne i militarne. Jeden z nich (z islamem) był długotrwały i odnawiający się krwawo co kilka pokoleń – lecz z perspektywy całej christianitas (w każdym razie od momentu zatrzymania Maurów pod Poitiers w 732 r.) zawsze był konfliktem z „zagranicą” i „obcym” (nawet jeśli z początku mahometanizm bywa traktowany jako swoista herezja, a nie zupełnie inna religia). Inny potężny konflikt (dzielący chrześcijański Zachód i Wschód, teologicznie i politycznie) również trwał i wzrastał się wiekami, aż na bazie różnic teologicznych i cywilizacyjnych, poprzez coraz ostrzejsze ciosy dyscyplinarne i zdrady polityczne ukazał się jako jakby nieprzezwycięzalna odrębność własnych historii; był to zawsze konflikt ze „swoimi”, więc posiadający znamiona „domu wewnątrznie podzielonego” (i takie przyniósł gorzkie owoce obu stronom konfliktu), lecz ze względu na dość prostą lokalizację kulturową obu podmiotów

– wschodniego i zachodniego, greckiego i łacińskiego – prowadził bardziej do obcości niż do codziennej potrzeby grodzenia się nienawiścią (to ostatnie miało oczywiście miejsce na terenach granicznych, o czym my akurat dobrze wiemy). Jeszcze inny był długi wyniszczający konflikt wewnętrzny christianitas, który nazywamy sporem papieżstwa z cesarstwem: angażujący tak samo żywioły materialne i duchowe, ten żarliwy spór dzielący chrześcijaństwo aż do wnętrza jego narodów był polityczny, ponieważ był teologiczny – a był teologiczny, ponieważ był polityczny; był gorącym starciem między „swoimi” i niestety przy okazji koniecznego precyzowania zakresów „wolności Kościoła” oraz autonomii wspólnoty politycznej zawierał momenty zarówno egzaltacji teokratycznej po stronie papieżstwa, jak i ambicji absolutystycznych po stronie monarchy (przy czym to drugie okazało się chorobą trwalszą niż spór) – ale jednak był to spór, w którym trwanie obu skonfliktowanych instytucji nie było kwestionowane, a jedna de facto i de iure zawsze potrzebowała drugiej. Niestety to z późnego pokłosa tego konfliktu, z „niewoli awiniońskiej” papieży wyłonił się u końca XIV w. nieoczekiwany i coraz groźniejszy konflikt wielkiej schizmy zachodniej: przez kilkadziesiąt lat chrześcijaństwo zachodnie jako całość rozdzielane było niejasnością, kto jest papieżem (a kto antypapieżem), w związku z czym poszczególne państwa, środowiska i osoby przyznawały się do odmiennych lojalności w tej istotnej kwestii; był to bodaj pierwszy wśród tak wielkich sporów wewnętrznych chrześcijaństwa, w którym równocześnie przedmiot był kompromitująco spersonalizowany, racje „pretendentów” niejasne i polityczne, a sprawa zdawała się nierozwiązywalna z powodu głównie ich chorych ambicji, zaś ludzie zaangażowani w spór poruszali się w nim jak we mgle. Każdy, kto analizuje start „nowych czasów” i rozpoczynający się wtedy proces wytwarzania pierwszych trwalszych – nowoczesnych – formuł postchrześcijaństwa, powinien wytrwać uwagą przy tym, co naznaczyło kulminację owej wielkiej schizmy: konieczność rozwiązania wielkiego kryzysu Kościoła bez udziału papieża lub wręcz wbrew tym, którzy byli rozpoznawani jako następcy Piotra – za to siłami autorytetów politycznych i na podstawie doktryny koncyliarnej. Przez długie dziesiątki lat tej dezorientacji (niektórzy zwracają uwagę, że biorąc pod uwagę „niewolę awiniońską”, jest

to długie sto lat!) ciężkiej próbie poddawana była nie tylko lojalność kościelna, ale i poprawność teologiczna wierzących.

Dochodzimy w ten sposób do reformacji, czyli tego konfliktu, który kumulował w sobie wszystko, co najgorsze w poprzednich konfliktach wewnętrznych chrześcijaństwa – doktrynalnych, moralnych, politycznych czy militarnych. Reformacja przebiła wszystko: była konfrontacją doktrynalną – lecz rozbijającą się szybko na dziesiątki punktów, w których poza stanowiskiem ortodoksyjnym zaraz uformował się szereg jego sprzecznych negacji; była schizmą kościelną – lecz taką, która nawet gdy dokonywali jej lokalni biskupi, nie tyle odrywała Kościoły lokalne, ile tworzyła w ich miejsce inne wspólnoty kościelnopodobne, równocześnie zdyscyplinowane i zdesakralizowane; była też wojną domową – i to taką, która rzeczywiście rozerwała szereg dotychczasowych całości społecznych i państwowych, wymusiła zaistnienie nowych granic i nowych całości, a po ponad stu latach została zażegnana pokojem sformułowanym na podstawie zwierzchności władzy politycznej nad wolnością Kościoła i wolnością wiary (*cuius regio, eius religio*).

Tak więc efekt reformacji był nieporównywalny: po raz pierwszy wewnątrz chrześcijaństwa powstało takie trwałe rozbieżenie, które obok dotychczasowego ładu katolickiego postawiło jakiś porządek religijny nowego typu. Nie był on tak obcy jak kiedyś islam. Nie był tak kulturowo oddzielony jak prawosławie. Nie był ograniczony do polityki jak kiedyś suwerennościowe ambicje monarchów chrześcijańskich. I nie był tak jednoznaczny doktrynalnie jak kiedyś arianizm. Był to natomiast porządek nowy, istniejący tuż obok i wymagający nowego *modus vivendi*, gruntownie odmienny, lecz momentami łudzaco podobny, posiadający własne inkwizycje, lecz potrzebujący do swego istnienia i rozwoju doktryny praw i polityk neutralnych teologicznie.

W konsekwencji rozłam reformacyjny okazał się prawdziwym punktem startu dla tworzenia się wielkich formuł postchrześcijaństwa – chociaż sam ich nie stworzył. Postchrześcijaństwo powstanie bowiem nie z gorliwości reformatorów, lecz ze wzrastającego zakłopotania i zgorzenia wojnami religijnymi tej epoki oraz z przekonania, iż najlepszą receptą będą różne odmiany neutralności. Przyjdzie na to czas w XVII w., gdy było już jasne, że twory reformacji przetrwają – zarówno jako konstrukcje teo-

logiczne i eklezjologiczne, jak i jako związane z nimi organizmy polityczne; gdy w nowych pokoleniach przyszedł czas nowych racjonalności teologiczno-politycznych.

Formuły nowoczesnego postchrześcijaństwa powstaną w swoim „pomiędzy”, które wytwarza się dzięki dwoistości lub pluralności wyznaniowej Zachodu postreformacyjnego. Będą nie tyle produktem któregoś z tych skonfliktowanych światów chrześcijaństwa, ile wytworem sceptycyzmu karmiącego się ich sprzecznościami, zbrodniami i kompromitacjami.

Jednak obok tego coraz mniej sekretnie ponadkonfesyjnego lub bezwyznaniowego postchrześcijaństwa „libertynów” i „filozofów” mamy zawsze aktywowane przez nie postchrześcijańskie modyfikacje wewnątrz wyznań. Także wewnątrz społeczności Kościoła katolickiego. Czynniki podobne do tych, które ośmieliły jedne umysły do postchrześcijańskich „filozofii”, wywołują rozstrój w myśleniu religijnym, także u ludzi pragnących zachować „prawdę katolicką, prawdę niezmienną”.

Odróżnijmy więc postchrześcijaństwo „filozoficzne” i postchrześcijaństwo „religijne”. To ostatnie tworzy się nie „pomiędzy” konfesjami (z motywacjami uniezależnienia prawdy od teologii i zbudowania fundamentów współżycia ludzkiego, „jakby Bóg nie istniał”), lecz wewnątrz nich, czasami wręcz w szpicy teologicznych kontrowersji i gorliwej apologetyki.

Jest to lekcja, którą da się wyciągnąć z dziejów reformacji i kontrreformacji – lecz schemat będzie aktualny do dzisiaj i daje dobry wstęp do rozumienia tego, co dzieje się wewnątrz Kościoła po zderzeniach z rewolucją, liberalizmem, socjalizmem, nacjonalizmami, ideologiami totalitarnymi oraz co dzieje się w nim dziś, w styczności z sekularyzmem itp.

Gdy więc na zewnątrz Kościoła, lecz na tym samym polu społecznego zadomowienia i oddziaływania, powstaje konkurencyjna względem niego tożsamość ideowo-społeczna, wewnątrz wspólnoty katolickiej tworzy się z reguły ruch fragmentacyjny. Jego prawdziwymi czynnikami są dwie sprzeczne orientacje. Jedna z nich żyje tym, aby wewnątrz Kościoła zrealizować to, co tworzy prestiż pozakościelnego konkurenta – a balansuje między adaptacyjną mimikrą względem „świata” i elitarnymi eksperymentami *nouvelle chrétienté*. Orientacja druga, wręcz przeciwnie, dąży de facto do

takiego formułowania chrześcijaństwa, aby jego norma i codzienność zostały zdominowane przez wyznanie odrzucenia błędów wroga – w ten sposób, że najważniejszy w chrześcijaństwie katolickim staje się antyprotestantyzm, antyliberalizm, antymodernizm etc. Obie wspomniane orientacje swoją energię zawdzięczają istnieniu ośrodka zewnętrznego – w pewnym sensie potrzebują go, żeby istnieć i mobilizować się, w takiej czy innej konkurencji. Dopóki odnoszą się do realnych problemów, a swoich operacyjnych (adaptacyjnych czy kontrowersyjnych) „hierarchii prawd” nie uważają za właściwą hierarchię prawd Objawienia, to różnicowanie mieści się wewnątrz wspólnoty *catholica*; jednak gdy pod wpływem swych ambicji i partykularnych doświadczeń grupy te wytwarzają swoje własne credo, dekalog i katechizm, pojawia się problem zewnętrzności ich chrześcijaństwa. Na tym tle szansą wydaje się istnienie orientacji trzeciej: odnowa przez sięgnięcie do źródeł. Jeśli tylko rozumie się to nie jako archeologiczną podróż do dawnych czasów, lecz przywrócenie w codzienności chrześcijańskiej prymatu źródłom zawsze żywym w tradycji Kościoła – jest to ruch najzdrowszy, którego chrześcijaństwo jest wewnątrzsterownym „my” Kościoła wszystkich wieków. Jednak rozstrój kościelnej całości sprawia, że ta katolicka *via media* zostaje wydrenowana z witalności nadającej jej moc spektakularnego oddziaływania i prestiż: jej *medietas* kojarzy się jednym z konformistyczną przeciętnością (także: intelektualną), a innym – z mdłą letniością niezaangażowania, centryzmem. Kto szuka „wyrazistości”, szybciej wybierze którąś z dwóch wcześniejszych orientacji: jedni tę, która zaprasza do intelektualnego wyrafinowania i „gruntownego przemyślenia chrześcijaństwa”; inni tę, która obiecuje emocje „walki” lub raczej uczestnictwa w romantycznym dramacie z dala od trudu. Dlatego prawdziwą szkodą, którą sprawia opisywany rozstrój, *diabolon*, jest nie samo wyodrębnianie się zastępczych chrześcijaństw adaptacji i kontrowersji – lecz pozbawianie energii (i atrakcyjności) chrześcijaństwa źródeł, chrześcijaństwa ortodoksji. Można by rzec – w nawiązaniu do typologii platońskiej z *Państwa* – że wskutek opisywanego rozstroju chrześcijaństwo źródeł zostaje pozbawione swych filozofów i wojowników, a pozostają mu niemal sami rolnicy – ci, na których patrzy się z góry. „Wyrzutki świata, śmieć wszystkich”, *peripsema* (1 Kor 4, 13). *Pauca grex*. ■